ROK PIĄTY.

№ 11.

WARSZAWA

d. 28 lutego (11 marca)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

Głucha.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Oracze wiedzą, iż nasienie ich nie zawsze wznijdzie, i wiele na roli ich przypadków bywa: grady, rdze, szarańcze i inne; jednak radzi wydają z komory gotowe, nadziei nie tracąc do dobrego żniwa. Daleko my to więcej czynić mamy, dając to ubogim, co nam zbywa. (*Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę.)*

Prośba sieroty.

Boże mój! ojcze i Panie nad Pany,
Nie patrzysz prośby, kto ją śle do Ciebie;
W obliczu twojem wszystkie równe stany,
Ty serca tylko rozróżniasz tam w niebie.
Lecz dla sieroty Tyś łaskawszy Panie,
Ona nikogo niema na tym świecie;
Opieka twoja za wszystko jej stanie,
Bo ona tylko, tylko twoje dziecię.
Ty jej wysłuchasz, gdy łzami zalana
Błagalną prośbę do Ciebie zanosi,
I błaga ojca, błaga swego Pana,
I o opiekę nad sierotą prosi.
Ty dasz anioła, co ją poprowadzi
Po stromych scieszkach ziemskiego żywota,
Co w złej godzinie dobrze jej poradzi,
I czystą stawi przed wieczności wrota.
Ojcze mój! Boże i Panie nad Pany!
Ześlij mi stróża, niech mych kroków strzeże,
Błagam Cię o to Panie łzą zalany;
Że mnie wysłuchasz o ojcze, ja wierzę.
Daj duszy spokój i sumienie czyste,
Błogosław pracy, dodaj do niej chęci,
I pobłogosław nam łany ojczyste,
A zawsze wola twoja niech się święci.

Rada w radę przed chałupą.

Janek, Wojtek, Szymon i Majcher. (1)

Szymon. Nie będzie tak jak gadacie, bo kajżeby tak na świecie było?.. do czego?.. bajecie próżne baje, co wam ktoś nabajał. Pan będzie panem we dworze, a gospodarz będzie gospodarzem w chałupie. Tak będzie!

Janek. Jacyście wy też to niewierni mój Szymonie! kiedy wam gadam, że nie z siebie to wiem, ale z ludzi.

Szymon. To też to, że ludzi słuchacie, a Pana Boga na niebie, ani księdza w kościele, ani sprawiedliwości nie słuchacie. Ja zaś to nic ludzkiego bajania nie słucham, tylko sobie tak mówię: że musi być wszystko jakoś, aby

---

(1) Jestto rozmowa włościan pod Krakowem mieszkających, dlatego i język ich różni się nieco miejscowością.

się jedno do drugiego stósowało. Bo jak się nie składa, to jest kiepsko. Jakby pan, na to mówiąc, udawał chłopa, a chłop pana, to na nic; ani ja za pana nie będę rządził, ani pan za mnie nawozu nakładać nie będzie.

Wojtek. A wywieźliście już Szymonie nawozu ila tyla?

Szymon. Ej, wywiózłem tam już na jedno półko. Ale do tego się mówi, że nie będzie tak, jak Janek gada, bo każdy pan musi swój honor utrzymać, a chłop nie ma nosa wrażać, kaj mu się nie patrzy.

Janek. No, zobaczycie Szymonie, iż na mojem się stanie; najlepsze będziecie mieć przekonanie, jak się z organistą o tem zgadacie.

Szymon (z gniewem). Co mnie tam do organisty odkazujecie, kiedy nie każdy choć i organista jest sprawiedliwy. Jak w kościele, to przygrywa Panu Bogu, a w karczmie, to kieliszkiem djabłu przydzwania. Gdyby wam to jegomość powiedział, albo gdyby prawił z ambony tak i tak, albo owak lub owak, tobym prędzej dał wiarę.

Wojtek. Wie tam i organista niejedno; przecież jest na książkach uczony.

Majcher. Wie ci tam wie, mój Boże, ale chyba to, co baba do garnka kładzie, albo co mu na misę wysypie. Tak jak kiedyś prawił w karczmie za tej italiańskiej (włoskiej) wojny, że baby będą brać do wojska, a tu i chłopów popuszczali. Zwyczajnie, jak tam organista wypije jeden półkwaterek, albo drugi, to będzie bajał lada z kim, choćby nawet z żydówką.

Wojtek. Tego nie mówcie Majcher, bo jak mi raz wyczytał w książce, że będzie na wiotku (nowiu) miesiąca śnieg, to tej samej nocy leciał setny (obfity) śnieżek.

Majcher. O to się tam nie mówi; bo taką rzecz prędzej utrafi, zwyczajnie jak góral, co po gwiazdach miarkuje.

Szymon. Na to to oni mają zmysł ci górale, bo jakem raz kosił łąkę, więc idzie góral od Węgierskiej strony, i pochwalił Pana Jezusa. „Na wieki wieków“ rzeknę, i pytam się go, co mu się o deszczu widzi? czy będzie czy nie? A ono góralisko obejrzało się po niebie, i tak prawi: Zamoknie wam sianko w kopach mój gospodarzu śliczny, bo nasza *Węgierka* (1) świta. I wystawcie sobie, że ja w kopy siano grabię, a tu chamera (zamieć) i źga i źga tak, że mi siano wybielało jak len.

Majcher. Daję temu wiarę, bo tak się znowu stało, że na pańskiem mieli kosić tę dużą łąkę, a ekonom domawiał panu, aby przynająć kosiarzy, i żeby zrobić z nią koniec. Pan jak pan, przystał i posłał po górali do miasta; a oni mu tak mówią: Nie skończyliśmy mój panosku u księdza kanonika na jego wsi, więc nie będziemy aż na beztydzień. A ekonom parł na nich, aby się zbierali i szli co tchu. A stary góral odzywa się tak do ekonoma: Choćbyśmy pokoisili, to nie wysuszycie; bo *Jaś* będzie płakał, dopóki go matula nie *utuli*, (2) i rychtyk zgadł psia noga!

Wojtek. Ale co tam mówić? mądre te górale, bo nawet na czarach to się znają!.. jak i owi owczarze, to lada który zna się na czarach. Raz jeden drugiemu chciał na złość zrobić, to jak pod próg podłożył ziółko, to która owca przeszła, zaraz zwartogłowiała (dostała kołowacizny). A ten mu znowu tak na despekt zrobił przez mściwość, że nigdy owiec zgonić do kupy nie mógł, tylko mu się jak nie przymierzając te wróble rozlatywały. Dopiero się przeprosili i przypili do siebie, i wszystko ustało.

Majcher. Mądry naród, niema co mówić; ale ja i tak tych górali nie lubię. Nie jest już tak podufały w sobie jak nasz chłop. Łazi to po świecie w krypciach, a nie usiedzi w domu. Jak to z nas żaden nie idzie na zarobek.

Szymon. Mnie oni tam nie szkodzą; niech się chudaki pożywią. U nich to się nie rodzi tylko ten lichy owiesek, co z niego placki pieką. Będzie to człowiek po owsie?.. Nigdy! bo bez żyta nie będzie chłopa. I dlatego też te góraliska takie cienkie i nikłe, coby go w pasie kozikiem przeciął. A jak się tu na kluskach wypasą, to jeno pokrzykują, a tańcują węgierskiego. Dziwnie oni to podrygają w tańcu, aż się uśmiać!

Janek. A oni psie nogi strasznie za panami trzymają, aże okropne. Gadałem raz z jednym, co był cieślą i dach pobijał, a ja mu gontów donosił, to mnie tak strofował, com się o naszym odezwał: wej (prawił) tak wy to zaś na swego pana futrujecie?

---

(1) Góra.

(2) Będzie deszcz na Sty Jan, i będzie słotno aż do Matki Najświętszej.

Szymon. A bo słuszne ci mówił, bo po co macie głupie słowa gadać; byłoby to bez panów?

Janek. A jużciby tam może i było.

Szymon. Oj, głupi baja, że ci powiem, bo cię nawet nie warto inak nazwać, bo gębą próżne słowa mielesz!.. Cóż ci panowie krzywi?.. Nie zarabiasz to u nich?.. Cały tydzień chodzisz na zarobek, i źle ci to?.. Ja nie chodzę, a i tak ich nie pomstuję, bo nie mam z nich krzywdy. Ja powiadam, że najgorsi ci, którzy we dworze bakę świadczą, a po wsi burzą. Mnie tam nikt we dworze po nic nie uwidzi, i dziękować Bogu od nikogo nic nie potrzebuję; ale jak spotkam pana, to z nim pięknie pogadam, i do żadnej ze dworem nie przyszedłem okazyi.

Wojtek. Wyście co innego, boście bogacz, ale my to łajdaki. (2).

Szymon. To też jeszcze bardziej panów potrzebujecie w każdej potrzebie. A nie dał wam to pan żyta na przednowku, coście w workach co tydnia (3) nosili?

Janek. Dał ci całe trzy razy, ale na odrobek.

Szymon. A odrobiliście już?

Janek. Kiejta mieliśmy odrobić tak prędko? Przecież nam jeszcze śmierć w ślipie nie zagląda. Będzie na to dość czasu po żniwach na krótki dzień.

Wojtek. Ale czego wy Szymonie tak gardłujecie za panem, jakbyście nie byli taki chłop jak i my?

Szymon. Ja nie gardłuję za nikim, ale trzymam za sprawiedliwością, i jestem taki człowiek, żebym nawet żydowi nie dał krzywdy zrobić.

Majcher. Ej, co tam gadacie o żydzie!.. Żyda tobym nie żałował, jakby mi się trafiło.

Szymon. A ja zaś, nie stoję o niczyje, a swojego ruchać nie dam.

Wojtek. Musi zawsze bogacz z bogaczami trzymać.

Szymon. Co wy mi moje bogactwo wytykacie? czym wam co wziął, albo czy na waszej roli siedzę? Co mam, to z dziada i pradziada, i krwawo się dorobiłem. A wasza rola Wojciechu była lepsza od mojej, bo macie cały grunt w równiźnie, tylko żeście go zapustoszyli, a puszczacie na przysiewki. Jak się wam ma rodzić, kiedy wam wspólniki rolę do zdry (źdźbła) wytłuką i wyjałowią; ani nawozu nie nawieziecie, ani uprawicie, tylko tak gospodarstwo idzie na biésa (djabła).

Wojtek. Będę ci tam pole nawoził, kiedy gnoju nie mam. Ani siartki bydlęcia, ani szkapy przy chałupie nie ma, a wy gadacie o nawozie. Kupiła moja prosię, to je musiała sprzedać; miała jałówkę, to ją Pan Bóg miotłą zabił, z czegóż się wezmę?

Szymon. A jakże macie co uchować, kiedy łąkę sprzedajecie za ogranicę, a słomę do miasta wywozicie?

Wojtek. Jużci jej jeść nie będę, choć i słomy, muszę ją sprzedać.

Majcher. Tego nie mówcie Wojciechu, bo dobrze wam Szymon radzą, że bez słomy niema bydlęcia, a bez bydlęcia nawozu. Co to, to prawda!

Janek. Ja tam dziękować Bogu, mam starą kalębę, (4) ale mi daje kapkę mleka, i nawozu choć parę fur to się uskrobie.

Szymon. Ty Janek powinieneś mieć z pięcioro bydła, jako i miałeś po babce, ale poszły na kukiełki w mieście.

Janek. Ej, nie przejadłem tam, anim też nie przepił, bo pijakiem takim jak drudzy, dziękować Bogu nie jestem; ale rozeszło się na różne turbacye; i ludzie mnie też zarwali. Musiałem we dworze dług oddać, com pożyczył na szkapy, i to mnie zniszczyło. Oj, pan ci mnie to zniszczył, pan, bo musiałem oddać aż sześć dukatów, i jakże było żyć na tym świecie?..

Wojtek. Prawdę mówi Janek, że nie kto go zniszczył, tylko pan.

Szymon. Jużci kiedy pożyczył, to musiał oddać.

Wojtek. Na nim, choć i na panu nie byłoby znać tych sześciu dukatów, a na chłopa to summa. Jabym tam był nie oddawał. Byłbym powiedział brewiter, iż nie mam, i po wszystkiemu.

Szymon. Tak nie idzie sądzić, bo każdego szkoda, i Bóg na ludzką krzywdę patrzy, tak na pańską jak i na chłopską.

(2) Biedni, czyli ubodzy.

(3) Tygodnia.

(4) Krowę.

Janek. Ej, gadacie! Pan Bóg przecie widzi, że pan ma więcej od chłopa.

Szymon. Jużci widzi, ale choć i pan, to sobie sam nie wziął, tylko mu Pan Bóg dał więcej, a chłopu mniej. Każdy ma tyle, ile mu Pan Bóg ofiarował, a on zachował lub dorobił. I będzie się Bóg od każdego dopominał rachunku, tak od pana jak i od chłopa; a który się nie wyrachuje, to go djabeł będzie męczył. Niech tam Bóg każdego broni, od takiej kary, tak pana jak i chłopa.

No, zostańcie z Bogiem sąsiedzi, bo parobek tam orze, muszę wyjrzeć na niego.

Godziny po robocie.

XII.

—

Kończył się już gorący Lipiec; żniwa, w których znaczna ludność robocza wiejska, znajdowała zajęcie, niedługo już miały dawać jej zarobek. Oglądał się nie jeden robotnik, jak mu się nadal przyjdzie obrócić, jak przez nadchodzącą jesień zapracować sobie na zaopatrzenie domu i potrzeb rodziny swojej przed zimą. Było też tym ludziom, co żyją z dnia na dzień, o czem i pomyśleć; dlatego w gromadzie dzisiejszej, która się zbierała przed domkiem pana Dorosza, było jakoś głucho. Nareszcie gadu gadu w radę, i jakoś niechcący rozpoczęła się pogadanka.

— A ja wam powiadam, mówił Grzegorz wyrobnik do Baltazara, kiedy stali już na podwórku p. Dorosza, że przecież kiedyś robotnicy lepiej się mieli.

— To się wie, moi kochani, że lepiej, ale to takie jest niestałe, jak pogoda marcowa.

— Co tam prawicie Grzegorzu? zapytał p. Dorosz, który do zebranych gości przed chwilą wyszedł; widzę, że was coś ważnego zajmuje.

— Bogać tam nie ważnego W. panie; oto gadamy o tem, jak to biedna nasza płaca nie jednakowa. Czyby to nie mogli tak urządzić na świecie, żeby była stałą?

— O! nie moi kochani!.. dużo to o tem mówić. Wykazałem wam już dawniej, że robotnik sprzedaje swą pracę, a fabrykant czy tam właściciel fabryki kupuje ją od niego; czyli, że o ile pierwszy pracuje, o tyle mu drugi płaci. A zatem robota, tak jak każdy towar w cenie swojej zależy od tego, czy jej więcej, albo mniej potrzebuje od was ktoś drugi; czyli, im więcej będzie robotników szukających zatrudnienia, tym zarobek będzie mniejszy; i przeciwnie: im więcej będą od nas żądali rąk do pracy, zarobek czyli płaca będzie wyższą.

— Zawsze jednak czekać łatwiej temu, mówił Grzegorz, kto ma warsztat lub fabrykę i może więcej, albo mniej potrzebować robotników, niż robotnikowi, który z dnia na dzień musi szukać roboty i za nią kawałka chleba.

— Nie tak bardzo, jak ci się zdaje. Robotnik właśnie dlatego, że co dzień potrzebuje zarobić na chleb, nie może czekać, aż właściciel warsztatu lub fabryki spienięży wyrób, albo towar, około którego tenże robotnik pracuje; ale mu musi zapłacić zaraz, chociaż sam nie prędko, a może i nigdy nie sprzeda towaru. Tym sposobem robotnik w zapłacie za swój zarobek już bierze naprzód część wartości wyrobu, bez żadnych nieprzyjemności, niepewności, a nawet obawy straty, na jaką fabrykant się wystawia.

— Ale któż oznacza tę część robotnikowi? przerwał Baltazar.

— Oznacza ją sam robotnik wspólnie z właścicielem fabryki lub warsztatu.

— A to dopiero może sobie robić pan właściciel, jak mu się spodoba.

— Nie mój Baltazarze! Wysokość zapłaty za robotę zależy nie od właściciela, ale od takich okoliczności, których on zmienić nie może. A naprzód zależy ona od wartości pracy, czyli od usługi, jaką praca nasza drugiemu wyświadcza. Posłaniec np. który nosi posyłki z jednego miejsca na drugie, wyrobnik, który służy mularzowi do pomocy, są mniej płatni, niż mularze, ślusarze, odlewacze, mechanicy, a ci znowu mniej, niż rysownicy, sztycharze, rzeźbiarze i t. d.

— A to właśnie źle, zawołał Grzegórz,

dobrzeby było, aby tej różnicy w płaceniu nie robiono.

— Kiedy to w żaden sposób być nie może, odparł doktór, bobyś tym sposobem kazał płacić sobie więcej, niż warta twoja robota; w skutek zaś takiego prawa właściciel musiałby rozpuścić robotników i zamknąć fabrykę, boby zupełnie stracił. To jedno, a dalej, ponieważ praca mechanika, rytownika i t. p. jest trudną, wymagającą długiej naprzód nauki i wydatków na nią, zdolności, to gdybyś im płacił równo z prostym wyrobnikiem, pewnieby wszyscy taką fabrykę odrazu porzucili. Woleliby naturalnie jąć się tych zatrudnień, co i mniej uzdolnieni robotnicy, boby mniej mieli trudu, a tę samą zapłatę. Cóżby ztąd wynikło? oto powstałby brak rąk w jednych rzemiosłach, a nadmiar w innych; ztąd właściciele musieliby przepłacać rzemieślników w rzemiośle, gdzieby ich był brak, a za to rzemieślnik nie miałby zajęcia w rzemiośle, do któregoby się wszyscy rzucili.

— Więc nikt nie może oznaczyć stałej wysokości zarobku? zapytał, wzdychając Grzegórz.

— Tylko potrzeby ogółu ludzi, które ostatecznie wpływają na uregulowanie płacy. Jeżeliby było bowiem niesprawiedliwością zmuszać robotnika do przyjęcia zapłaty niższej od wartości jego pracy, podobnież byłoby niesprawiedliwem nakazywać publiczności, aby płaciła za tę pracę więcej, niż ona jest wartą. I jeżeliby kto kazał sobie płacić za towar cenę większą od wartości, jaką ma dla nas, wolimy obejść się bez niego; a tym sposobem fabryka lub warsztat wyrabiający ten towar, o tyle zmniejszy zajęcie u siebie dla rzemieślnika.

— W takim razie, zarzucił Szlej, wysokość zapłaty jest przypadkową.

— Pozwól mi dokończyć. Wartość pracy, jakem powiedział, zależy od wielu warunków; pomiędzy niemi, oprócz poprzednio wykazanych, okolicznością wpływającą na wysokość płacy, są potrzeby człowieka. Te znowu zmieniają się stosownie do czasu i kraju: człowiek żyjący w stanie natury, ma inne potrzeby od żyjącego w społeczeństwie ludzkiem oświeconem; mieszkaniec zimnych krajów ma inne wymagania od mieszkającego w gorącym klimacie.

— A więc odezwał się Szlej, nie można jakem to dobrze powiedział, w żaden sposób ujednostajnić wysokości płacy, bo potrzeba sama jest zmieniającą się ciągle.

— Owszem, można, ale tylko, jak każdą wartość, sposobem przybliżonym.

— Dobrze to wszystko, zarzucił Szlej, ale ponieważ wysokość zapłaty za robotę zależy od koniecznych potrzeb ogółu, zdawałoby się zatem, że im żywność, ta najgłówniejsza potrzeba nasza, jest droższą, to płaca powinna być wyższą, i naodwrót; a tymczasem, jakeśmy widzieli tego roku, zupełnie się przeciwnie dzieje.

— A tak: jeżeli żywność jest droższą, to wszystkie zarobki ludzi mniej zamożnych idą tylko na kupno tej żywności, tak, że naówczas nie mogą kupować dajmy na to odzieży— skąd wypadnie, że ci, co ubiory wyrabiają, nie mając odbytu, usuną część robotników ze swoich warsztatów, jako zbytecznych. Ci tedy robotnicy, aby znaleść zarobek przed innymi, muszą za tańsze pieniądze pracować, czyli obniżać płacę.

Widzicie przeto, że wysokość płacy nie zależy ani od przypadku, ani samowolności właścicieli fabryk, lub warsztatów, ale jak wartość wszystkich rzeczy, od odbytu i cen, jakie ma fabrykant za przedmioty wyrabiane; a powtóre od mniejszej lub większej ilości robotników, zarobku w fabryce szukających.

Ponieważ zaś jak widzę, jeszcześmy się dobrze nie zrozumieli, a tu już noc nadchodzi, pomówimy przeto na przyszły raz obszerniej o tym ważnym przedmiocie.

— Dobrze, dobrze, powtórzono gromadnie, i każdy poszedł w swoję drogę.

Maciej Kukliński.

Coraz rzadszemi stają się u nas owe szlachetne wzory służących dawnych czasow, co cały swój żywot, a przynajmniej długi lat szereg przepędzali w usługach jednej i tej samej rodziny. Dlatego kiedy się natrafi gdzie podobny skarb wierności, podejmujemy go chętnie, aby imie takiego wzorowego służącego wydobyć na jaw, i życie jego postawić

na widowni, za przykład dla drugich, coby im wskazywał drogę obowiązku, którą postępując, dojśćby zdołali do podobnegoż zaszczytu stania się nie służalcami, ale pomocnikami swych panów.

Jednym z owych rzadkich wzorów był zmarły w dniu 11 marca r. z. Maciej Kukliński, wierny, poczciwy i przywiązany służący Piotra hr. Łubieńskiego. Najwymowniejszym dowodem szacunku i przychylności, na jakie umiał sobie zmarły zasłużyć, był nietylko szczery żal całej rodziny państwa, w której usługach przez lat przeszło trzydzieści pozostawał, ale nadto oddany przez nią publiczny hołd jego pamięci i cichym jego cnotom, przez towarzyszenie wszystkich członków tejże rodziny zwłokom zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku, w dniu 14 tegoż miesiąca i roku.

Żałujemy, iż nie jesteśmy w możności wskazania wam, gdzie i kiedy zacny ten człowiek się urodził, i kto byli jego rodzice; snać wszelako, że dobrzy to byli ludzie, kiedy w syna swojego tak poczciwe wpoili zasady; znać, że na cnotliwych wzrosł on przykładach, kiedy mu te na cały jego długi żywot starczyły.

Młodzieńczego zaledwie doszedłszy wieku, kiedy kraj w ciężkiej potrzebie zażądał krwi synów swoich, Maciej się nie wahał i wstąpił jako ochotnik w szeregi wojska Polskiego. Znanemi są powszechnie dzieje owych walecznych legionów, co na głos wodzów swoich przenosiły zwycięzkie chorągwie z jednego na drugi kraniec Europy. Nasz Maciej nie był pomiędzy niemi ostatnim; szlachetna krew jego zrumieniła była nieraz i piękne pola Włoch, i gorące piaski Egiptu, i niegościnną ziemię Hiszpanii. Dowody waleczności swojej przyniósł on nietylko w chlubnych bliznach po krywających jego ciało, ale i w krzyżu Legii honorowej, zdobiącym jego piersi, a przypiętym ręką samego cesarza.

W kampanii roku 1812, w czasie odwrotu wojsk francuzkich z Moskwy, kiedy pułki polskie, wytrwałe więcej na zimno, osłaniały wielkiej armii, Kukliński ranny ciężko pod Małodecznem, dostał się do niewoli, i wysłany będąc wraz z innymi jeńcami wojennymi nad morze Czarne, wcielony został do pułków kaukazkich. Ale i tam nie oszczędziły go kule czerkieskie; ranny ponownie, kiedy po wyjściu z lazaretu okazał się niezdatnym do dalszej służby wojskowej, otrzymał uwolnienie z pozwoleniem powrotu do kraju.

Nie stary jeszcze, ale złamany na siłach w skutek licznych ran i trudów wojennych, przywlókł się biedak o kiju i żebraczym chlebie do Warszawy w końcu r 1815 czy 16 r. Niezdolnemu do ciężkiej pracy, obdartemu i schorzałemu trudno się było gdziekolwiek umieścić. W tem smutnem położeniu udał on się do jednego z nieżyjących już dziś jenerałów, przekonany, że żołnierz żołnierzowi kawałka chleba nie odmówi. Jakoż nadzieje jego zawiedzionemi nie zostały; przyjęty bowiem do usług jenerała, przebył u niego lat kilka, służąc mu gorliwie i wiernie. Następnie zaś przeszedł w służbę Piotra hr. Łubieńskiego, u którego pozostał już do samej śmierci, pełniąc przez lat przeszło trzydzieści obowiązki swoje z niemniejszą gorliwością i poświęceniem.

W tym to czasie pojął w małżeństwo poczciwą i zacną kobietę. Wszakże Bóg odmówił mu pociechy z własnych dziatek; bo choć miał ich ośmioro, żadne z nich przecież roku nawet nie dożyło. Jako jednak prawy chrześcianin znosił z pokorą i poddaniem się woli Bożej te ciężkie krzyże, jakiemi się Panu serce jego ojcowskie dotknąć podobało.

Z każdą nową stratą własnego dziecięcia, tem silniej przywiązywał się do dzieci i wnuków swego pana; na nie przelał całą miłość i przywiązanie, do jakich szlachetne jego serce zdolnem było; w ich dziecięcych pieszczotach czerpał najsłodszą dla siebie nagrodę. On był ich piastunem, podroślejsze bawił zajmującemi opowiadaniami z czasów swojej wojaczki, karcił i strofował, gdy które co zawiniło, a dla każdego z nich miał zawsze na ustach dobre słowo, serdeczny uśmiech, w kieszeni zaś pełno zawsze zabawek i cukierków, któremi dziatwę za dobre zachowanie się obdzielał. To też dziatwa przepadała za starym Maciejem, wieszała mu się u szyi, i całowała zwiędłe jego jagody, lub głowę białym usrebrzoną włosem. Są to drobnostki, ale one to właśnie malują nam najlepiej ów serdeczny, że tak powiemy rodzinny stosunek pomiędzy wiernym sługą, a rodziną jego pana.

A kiedy w domu obchodzono imieniny, lub inną pamiątkę familijną, kiedy w kolei czasu

wyprawiano dzieciom wesela; wtedy każdy taki dzień był prawdziwą uroczystością dla starego Macieja. Ubrany odświętnie, z twarzą promieniejącą radością, przychodził on ze swem powinszowaniem, które zawsze składał na piśmie; a tyle było poczciwej w nich serdeczności, tyle prawdziwego wylania, że otrzymującym je łzy rozrzewnienia w oczach stawały, i każdy ściskał z szacunkiem rękę starego sługi, który stanowisko swoje umiał tak podnieść i uzacnić. Dla wychodzących z rodzicielskiego domu dołączał zwykle jaki skromny wedle swej możności upominek, i obok serdecznych życzeń, chrześciańskie zawsze błogosławieństwo.

Ale trzeba go było widzieć, kiedy na dom jego pana przyszły dnie próby i boleści, kiedy ręka Wszechmocnego powołała do chwały swojej najstarszą jego córkę, a dom cały okrył się ciężką żałobą... jak tę boleść Maciej uczuwał, jak wymowne i rzewne myśli swoje przelewał na papier, pisząc do zbolałej matki, aby osłodzić w jej duszy dotkliwy ten cios, aby ją natchnąć uczuciem poddania się świętej woli Przedwiecznego, aby ją ukoić w strapieniu. Listy te kreślone ręką do pióra nienawykłą, tyle jednak obejmują w sobie wzniosłych prawd i myśli, że zaiste godnemi byłyby druku; i niech was bynajmniej nie dziwi, że człowiek prosty, nieuczony pisał tak wzniośle i silnie, gdyż siłę tę i wzniosłość czerpał w szlachetnej swej duszy i w serdecznem wylaniu dla domu, który go na równi z członkami swej rodziny kochał i poważał.

Drugi list podobny pisał znowu do samego pana, kiedy ten ojca swego Felixa (byłego ministra Sprawiedliwości) utracił. W liście tym starając się przynieść synowi chrześciańską pociechę, tak się między innemi wyraził: „Nie wątpię, że ś. p. ojciec pański dostąpił już niebieskiej korony, gdyż ten, co sprawiedliwość na ziemi swej szerzył i utrwalał, sprawiedliwym się też w oczach Wszechmocnego okazać musiał“.

Tak w ustach jego, jak sercu zawsze było słowo pociechy i współczucia dla wszystkich cierpiących, bo prawdziwa pobożność była zasadą jego myśli i czynów. Ale nietylko uczynkami chrześciańskiemi, jałmużną ubogim rozdawaną, lecz i szczerą modlitwą skarbił sobie łaskę nieba; co dzień regularnie musiał być w kościele. Dotknięty nawet chorobą, kiedy opuchłe nogi wypowiadały mu posłuszeństwo, wlókł się o kiju do świątyni pańskiej, aby błagać tam o zmiłowanie nad sobą i o szczęście rodziny swych państwa, którą tak ukochał.

Do ostatniej chwili nie pozwolił wyręczać się w usłudze; z krzyżem Zbawiciela w ręku, i krzyżem wojskowym na piersiach oczekiwał on codziennie w przedpokoju na pana swego rozkazy, i lubo skon szybkim zbliżał się krokiem, stary Maciej nie chciał ustąpić z miejsca. I tam go też zabrała śmierć wśród powszechnego żalu państwa i domowników. Skończył na obranem przez siebie stanowisku, jak mężny żołnierz na polu bitwy ginący.

Pragnąć nam należy, aby życie cnotliwego Macieja stać się mogło zbawiennym przykładem dla innych; aby służący, domownicy i oficyaliści nabyli przekonania, że godność prawdziwa człowieka nie zależy od położenia, jakie kto w społeczeństwie zajmuje, ale od zacności charakteru, jaką się kto zaszczyca—że nie ten z nich wart szacunku i poważania swych panów, kto w strojniejszej wystąpi sukni, lub się zręczniejszym w usłudze okaże; ale ten, co poczciwie pełni swe obowiązki, co za chleb, który spożywa, odpłaca się miłością i przywiązaniem.

Serce sercem się płaci, mówi poczciwe nasze przysłowie; miej więc serce dla pana, on ci się stokrotnie wywzajemni. Bądź dobrym, życzliwym i przywiązanym, a zyskasz życzliwość i przywiązanie pańskie, i ze sługi staniesz się jego pomocnikiem i przyjacielem, jakim stał się poczciwym Maciej Kukliński, którego cała rodzina jego pana czciła i poważała, i którego mogiłę serdecznemi skropiła łzami.

Daj nam Boże! więcej sług podobnych!

Kościołek w Tatrach Polskich.

W górach tych, wsie nie są podobne do

naszych, chociaż je polscy zamieszkują górale. Każda wieś jest rozrzucona, chata od chaty daleko leży, stosownie jak pozwala miejscowość. Otóż we wsi *Zakopane* (w Galicyi), długo nie było kościoła: na nabożeństwo ludek biedny musiał chodzić do odległej w *Chochołomie* parafii; a często gdy albo wielkie ulewy lunęły, albo zamieć śnieżna zawiała, siedział po całych tygodniach i miesiącach w chatach, pozbawiony nauki słowa bożego, zaniedbując obrządków religijnych.

Przed dwunastu dopiero láty stanął tu kościołek skromny, parafialny. I ten ubożuchny domek Boży wpłynął zaraz na dobre pracowitemu ludowi.

Jak dzwonek kościelny uderzy, to rozradowywa serca górali; sami wynurzają, że się czują bliżej Pana Boga. Już teraz wiedzą, kiedy msza święta się zaczyna, wiedzą, kiedy mają w odwieczerz zmówić *pozdrowienie anielskie*.

Dostali też wraz z kościołkiem bogobojnego kapłana. Ksiądz Józef *Stolarczyk* objąwszy nową parafię, zastał lud dość dziki, w rzeczach religii w głębokiej pogrążony niewiadomości. Były w tym ludzie zarody dobrego, ale nierozwinięte potęgą słowa Bożego. Ksiądz proboszcz niezrażony tak smutnym stanem swojej trzódki, z chrześciańską miłością i ojcowską dobrocią złagodził szorstkie obyczaje swoich górali, a religią umocnił w wierze prawdziwej i oczyścił ich serca. Po kilku latach gorliwej pracy Bóg pobłogosławił tym świętym usiłowaniom. Wzrosła pobożność górali, a znią rozwinęły się cnoty chrześciańskie. Co niedziela tłumy ludu nie mogąc się pomieścić w szczupłym kościołku, oblegają go wokoło.

W czasie nabożeństwa górale i góralki śpiewają pieśni nabożne przy towarzyszeniu organów, tak pięknie i zgodnie, że aż miło słuchać. Po południu dzwonek lud zwołuje na katechizm. Po katechizmie następuje nauka śpiewu, którą się zajmuje sam ksiądz proboszcz, potem litania do Najświętszej Panny i supplikacye. Po skończonem nabożeństwie lud śpiewając pieśni pobożne, rozchodzi się do domów swoich, a góry i skały otaczające dolinę, długo jeszcze brzmią świętem echem.

Jak z ambony szanowny pasterz wpływa zbawiennie na parafian swoich, tak niemniej korzystnie działa na nich w codziennem przestawaniu z nimi. Zna doskonale każdego zo swoich parafian: ich kłopoty, zmartwienia, całe ich mienie znane mu najdokładniej. Posiada zupełne ich zaufanie; słowa jego są dla nich wyrokiem. Bez jego rady i przyzwolenia nie skojarzy się żadne małżeństwo, a jeżeli gdzie zaszło jakie zwaśnienie, za jego usiłowaniem gniewy ustają i święta zgoda następuje. W każdej potrzebie śpieszą do księdza proboszcza po radę z tem zaufaniem, śmiałością i uszanowaniem, z jakiem dzieci przystępują do ojca. Nawet i bez żadnego interesu przychodzą na plebanię, często tylko na pogadankę; a światły i bogobojny kapłan w takich rozmowach rozwija ich umysł i utwierdza w zasadach religii i moralności. Sam zwiedza ich chaty, pociesza w troskach, zachęca do ufności w pomoc Bożą, czy to w chorobie, czy w niedoli.

To też wdzięczny lud tutejszy nie wspomni o nim inaczej, tylko z pochwałą z wdzięcznego serca płynącą. Górale pochlebstwa nie znają, a o księdzu Stolarczyku powszechnie mówią, czy między sobą, czy przed obcymi: takiego księdza jak nasz, to nigdzie niema; on jak spojrzy na człowieka, to zaraz zgadnie, co myśli, przed nim zmyślić nic nie można.

Swiatły ten kapłan ukochał lud sobie powierzony, i nawzajem zyskał miłość i poszanowanie; a przez co?.. bo święcie wypełnia przykazanie Boskie: Kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 23 lutego (6 marca) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.